

O teoretycznych uwikłaniach nadużycia literatury

Status odrębnej, rządzącej się własnymi prawami aktywności ludzkiej literatura zyskała stosunkowo późno, bo dopiero w drugiej połowie XVIII wieku. Trzeba było jednak jeszcze stulecia, aby z tego faktu wyciągnąć radykalne konsekwencje. Pierwsi uczynili to literaci doby wczesnego modernizmu, którzy pod hasłem „sztuki dla sztuki” żądali dla swej twórczości już nie tyle autonomii, co wręcz autarkii. Literatura nie miała odgrywać już roli służebnej wobec innych dziedzin życia, miała zaspokajać potrzeby wyłącznie estetyczne. Również dziedzina naukowej refleksji nad literaturą stała się z początkiem XX wieku sceną emancypacyjnych projektów. Przełom antypozytywistyczny zerwał z postrzeganiem literatury jako funkcji czynników biologicznych czy społecznych, domagając się dla niej specyficznego traktowania, odmiennego od metodologii typowej dla nauk ścisłych. Formalizm rosyjski, wychodząc z założeń ‘unaukowienia’ badań nad literaturą, wprowadził literaturoznawstwo na teren, który mógł zostać uznany za właściwy dla tej dyscypliny. Miała ona teraz badać ‘literackość’, czyli to, co odróżnia teksty literackie od wszelkich innych. Miała więc robić to, do czego była najbardziej powołana, zagadnienia niesione przez treść utworów pozostawiając filozofom, psychologom, historykom i innym specjalistom.

Mogłoby się wydawać, że te dwa osiągnięcia: absolutna autonomia tekstu literackiego i metodologiczna czystość dyscypliny były najwyższym dobrem, jakie literatura i literaturoznawstwo mogły sobie wymarzyć. Nic bardziej błędnego. Minęło kolejne sto lat, w ciągu których byliśmy świadkami zarówno świadomego oddawania się literatury w służbę obcych dyskursów (literatura zaangażowana), jak i sukcesów literaturoznawstwa traktującego literaturę na równi z wieloma innymi tekstami kultury (jak to ma miejsce choćby obecnie w ramach nauki o literaturze spod znaku tzw. przełomu kulturowego). Wołanie o literaturę wolną od zobowiązań i literaturoznawstwo skupione na tekście nie ucichło wprawdzie, ale dochodzi do głosu jako wyraz jednego z wielu poglądów na sposób uprawiania i badania twórczości literackiej.

Takie same koleje losu przechodziła nieprofesjonalna recepcja literatury, przynajmniej wtedy, gdy stawała się obiektem naukowej obserwacji. I tu można było dostrzec pełną skalę stopni między przyzwoleniem na wolność lektury a próbą postulowania lektury idealnej, zazwyczaj abstrahującej od osobistych skojarzeń i emocji, i czulej przede wszystkim na estetyczne walory dzieła. Próbę kompromisowego rozwiązania tego dylematu podjął pod koniec XX wieku Umberto Eco. Analogicznie do poczynionego przez Erica D. Hirscha rozróżnienia między (obiektywnie istniejącym) znaczeniem a (współkreowanym przez czytelnika) sensem tekstu, zaproponował on oddzielenie interpretacji tekstu od jego użycia.

To ostatnie miało być wolne od wszelkich ograniczeń, ale i nie rościć sobie praw do statusu wypowiedzi o tekście, będąc de facto raczej dokumentem procesów zachodzących w psychice odbiorcy. Takie postawienie sprawy mogłoby wydawać się rozsądne, pozwala bowiem zachować naukowe standardy w badaniach nad literaturą, nie odbierając zarazem czytelnikom swobody postępowania z tekstem wedle własnego uznania. Jego słabością okazało się jednak – przynajmniej według niektórych – leżące u jego podłoża wyobrażenie tekstu istniejącego niezależnie od odbiorcy. Tymczasem, co najdobitniej chyba wyartykułowali przedstawiciele niemieckiego literaturoznawstwa empirycznego (m.in. Norbert Groeben, Siegfried J. Schmidt), to dopiero czytelnik tworzy (a nie tylko współtworzy, jak chciał już Roman Ingarden) tekst; nie można zatem stwierdzić, czy go odczytuje adekwatnie czy nieadekwatnie do jego obiektywnej postaci. Wychodząc z zupełnie odmiennych przesłanek, ideę adekwatnej interpretacji zakwestionowało literaturoznawstwo poststrukturalistyczne. Do rangi cnoty podniosło bowiem akurat te odczytania, które celowo zwracają się przeciwko uchwyceniu oryginalnego sensu tekstu (Harolda Blooma koncepcja silnej mylnej lektury). Tak czy owak propozycja autora *Imienia róży* pozostała jedną z wielu, a idea prawidłowości odbioru – podobnie jak koncepcja autonomicznej literatury i jej czystego oglądu – straciła szansę na uprzywilejowaną pozycję w mnogości literaturoznawczych teorematów.

Wszystko to nie wydaje się sprzyjać efektywnemu badaniu fenomenu stanowiącego centralny temat niniejszego numeru. Na czym miałyby polegać niestosowne zastosowanie literatury w sytuacji braku ograniczeń dla twórców, czytelników i badaczy? Czy można krytykować literatów za wykorzystywanie poezji do uprawiania politycznej publicystyki? Czy można wytykać dekonstruktywistycznym interpretatorom literatury przedstawianie swych osobistych skojarzeń jako informacji o analizowanym tekście? I wreszcie: gdybyśmy – przyjmując hipotetyczny scenariusz naszkicowany przez Eco w eseju *Interpretacja i historia* – pochwycili Kubę Rozpruwacza, moglibyśmy mieć do niego pretensję wyłącznie o jego nieczne czyny. Ale już nie o to, że uzasadnia je naukami Ewangelii według św. Łukasza. Innymi słowy: opisywanie zastosowań literatury jest możliwe wyłącznie na sposób deskryptywny, jako że brak kryteriów pozwalających któreś z nich uznać za nadużycie.

Takie podejście grzeszy jednak dogmatyzmem *à rebours*, wyklucza bowiem z pluralistycznego pejzażu metod głosy optujące za zakreśleniem wyraźnych granic odbioru literatury zgodnego z jej (domniemaną) specyfiką. Może zatem wystarczy, jeśli mówie o niestosownych zastosowaniach literatury towarzyszyć będzie wyraźne określenie metodologicznych wyborów mówiącego? Dyskurs o nadużyciach zyska wtedy nie tylko prawo do istnienia, ale i nowy wymiar, będzie bowiem siłą rzeczy sprzężony z refleksją nad sporami o istotę literatury. Może okazać się wówczas, że wiele z „purystycznych” postulatów (jak uprzywilejowanie estetycznej funkcji tekstu czy założenie jego obiektywnej egzystencji) straciło bardziej na popularności niż na faktycznej sile oddziaływania. Także zwolennikom otwarcia literaturoznawstwa na interdyscyplinarne wpływy i pełnej wolności odbioru może się zdarzyć uznanie tej czy innej interpretacji tekstu za nietrafną, a umieszczenie go w tym czy innym kontekście za niefortunne. Czy mogą mieć ku temu inną podstawę niż – nieświadome? – przyjęcie „wąskich” założeń w odniesieniu do istoty i funkcji literatury?

Otóż mogą, jak to swego czasu wykazał Stanley Fish, autor daleki przecież od formułowania reguł prawidłowej percepcji dzieła. Wystarczy tylko, że zamiast uprawiania metafizyki tekstu przyjmą ideę wspólnoty interpretacyjnej, tworu o względnie stabilnym (nieraz nawet usankcjonowanym instytucjonalnie), choć nieabsolutnym bycie. To jego doraźne re-

guly dyskursu wyznaczą uczestnikom granice tego, co wolno jeszcze zrobić z tekstem. I tak teoretyczna dowolność użycia literatury nie zaowocuje w praktyce chaosem, przynajmniej w obrębie danej wspólnoty. Ta zaś nie musi ograniczać się do jednej grupy seminaryjnej, można bowiem przypuszczać, że pewne typy użycia tekstów spotkają się z dezaprobatą u większości uprawiających refleksję nad literaturą, niezależnie od ich teoretycznego zaplecza. Należać tu będzie z pewnością szeroko pojęta instrumentalizacja literatury przez instytucje opresyjne – zniekształcanie tekstów poprzez cenzorskie ingerencje czy też naganianie ich do potrzeb walki ideologicznej. Mniejsze kontrowersje wywoła zapewne oddawanie (się) literatury w służbę idei niemających jednoznacznie negatywnej konotacji, jak wierzenia religijne czy programy terapeutyczne. Traktowanie utworów literackich jako ilustracji fenomenów pozaestetycznych: czy to zjawisk społecznych, czy naukowych teorii, napotka przy tak pragmatycznym ujęciu jeszcze mniej zastrzeżeń, zwłaszcza że nie musi ono wcale wiązać się z pozbawianiem dzieła jego wielowymiarowości, o czym świadczyć może chociażby wyrafinowana analiza Faulknerowskiej *Róży dla Emilii*, dokonana przez Pierre'a Bourdieu w *Regułach sztuki*. Na końcu skali dezaprobaty powinno zaś znaleźć się podejście do literatury eksponujące jej artystyczny charakter, nawet jeśli przyjmuje ono tak zaskakujące formy, jak międzykulturowe przekodowywanie, podłączanie własnych produkcji literackich pod twórczość ulubionego autora czy zaniedbanie innych dziedzin życia na rzecz fascynacji literaturą.

W ten sposób niniejszy wstęp niepostrzeżenie przeszedł od teorii do praktyki, ponieważ większość wymienionych wyżej przykładów (nad)użyć znajduje odzwierciedlenie w poszczególnych artykułach naszego zbioru. Mamy nadzieję, że ich lektura da asumpt do przejściowego wytworzenia się licznej, choć rozproszonej wspólnoty interpretacyjnej. Gdyby jednak ten czy ów artykuł wzbudził wątpliwości prowadzące do refleksji nad uzasadnieniem pojęcia nadużycia i skłonił do przemyślenia na nowo takich koncepcji, jak autonomia literatury, trafność odbioru czy granice nauk filologicznych – będzie może nawet jeszcze lepiej.

Tomasz Waszak i Leszek Żyliński